

OD AUTORA

Tłem mojej książki są wydarzenia, które miały miejsce w okresie od kwietnia 1944 do stycznia 1945 roku w Krakowie i jego okolicach. Dotyczą one działalności trzyosobowej grupy funkcyjarijuszy wywiadu I Frontu Ukraińskiego i współpracujących z nią członków Armii Ludowej. Po kilku miesiącach doprowadziła ona do współpracy z szefem Abwehry w Rudawie koło Krakowa, Kurtem Hartmannem, i z jego współpracownikiem, Władimirem Romachowem. Przekazali oni potem tajne informacje, które ułatwiły wyzwolenie Krakowa bez zniszczenia tego historycznego miasta.

Miejscowości najważniejszych wydarzeń są autentyczne. Niektóre miejsca drugorzędnych zdarzeń mogą być inne od podanych w książce. Na przykład pierwsze spotkanie Hartmanna i Romachowa z Aleksym i Wilkiem faktycznie odbyło się w czerlichowskim lesie, ale nie wykluczam, że potem mogli się już spotykać gdzie indziej. Prawdziwe są również nazwiska i pseudonimy prawie wszystkich osób. Zmieniłem je tylko kilku o epizodycznym znaczeniu.

Wyprawy partyzantów po materiały wybuchowe do kopalni w Tenczynku oraz stoczoną przez nich walkę w saneczkim lesie przesunąłem w czasie, ale ich przebieg był taki sam jak opisany przeze mnie. Mogą także różnić się niektóre daty mniej istotnych zdarzeń. W większości jednak przypadków – najwyżej o parę dni.

Ponieważ mój utwór nie jest *stricte* wiernym dokumentem,

pozwoiliem sobie, ze wzgldu na spójność fabuły, pominąć lub dodać niektóre epizody. Jednakże wszystkie zmiany, pominięcia i uzupełnienia są drugorzędne i nie podważają istoty tych wydarzeń, dziś już niemalże o historycznym znaczeniu.

Przedstawione w mojej książce fakty były fragmentarycznie publikowane w poprzednich latach w prasie, w opracowaniach książkowych o szerszej tematyce, a także we wspomnieniach ich bohaterów, choć nie zawsze prawdziwie, bo głównie w celach propagandowych i pod cenzurą. Dotychczas nie ukazała się też książka, która opisałaby je w całości, bezstronnie i w formie zbeletryzowanej. Ja zdecydowałem się na to, ponieważ uznałem, że jej bohaterzy zasłużyli sobie na to swą walką z okupantem bez względu na ich ówczesną orientację polityczną, choć niektórzy dopuszczali się także, przy okazji, czynów niegodnych partyzanta.

LĄDOWISKO

Był koniec kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Bagniste obszary zachodniej Puszczy Niepołomickiej tonęły w wodzie po niedawno stopniałym śniegu i pierwszych wiosennych deszczach. Nocna mgła niemal całkowicie zasłaniała widoczność. Spadochron Olgi powoli opadał na to podmokłe lądowisko. Poczwała pod stopami grząski, wodnisty grunt. Ugiął się pod nią niczym gąbka. Ostrożnie stawiała pierwsze kroki, by nie zapaść się w nim całkowicie. Odciskane w mule stopami głębokie zagłębienia natychmiast wypełniała mętna woda. Utrzymując się niepewnie na tym grzęzawisku, z trudem uwalniała się z lin i zwojów spadochronowej tkaniny, wgniatając je nogami w podmokły grunt. Powinna je była głęboko zakopać; tak ją uczyli instruktorzy. Niestety, nie przewidzieli lądowania na mokradle. Przeciwnie: miała to być sucha, leśna polana, a nie szuwary, z których może się nawet nie wydostać. Na tę myśl ogarnął ją strach. Zaczęła wyteżać wzrok za czymś twardszym. Niestety, wokół było ciemno i nic nie widziała poza zeszłoroczną trzcina, sięgającą jej po pas, i starą, szarą trawą, między którą wyrastała zieloniutka, tegoroczna. Po wdeptaniu spadochronu w błoto szła powoli, stawiając ostrożnie nogi na tej rzadkiej mazi. Na razie zagłębiały się poniżej kolan. Mimo to z dużym wysiłkiem wyciągała je z powrotem z lepkiego mułu. Każdy kolejny krok męczył ją bardziej. Po kwadransie tej żółwiej wędrówki zrozumiała jej bezsens. Nie miała przecież pojęcia, czy zbliża ją do

twardszego podłoża, czy też oddala od niego. Kiedy więc dotarła do wystającego ponad kałuże dużego, na pół spróchniałego pnia, postanowiła na nim odpocząć i poczekać na brzask dnia. Usiadła i rozcierała dłonią zmarznięte uda. Ale nieprzyjemny chłód odczuwała na całym ciele. „Że też musiałam trafić na to paskudne rozlewisko! Co to znaczy mieć pecha! Ciekawe, gdzie wylądował szef? Może jemu lepiej się udało” – pomyślała z kolei o człowieku, pod którego kierunkiem miała pracować na tej nieznanej i niebezpiecznej ziemi. „Skąd jednak to trzęsawisko? Przecież na mapie go nie było. Był las, polanki, łąki i wioski – wszystko, ale nie szuwały. Chociaż może i lepiej, że znalazłam się na nich, a nie pośrodku wsi. Tu przynajmniej nie powinno być Niemców” – pocieszała się, aby dodać sobie otuchy w tym żalonym położeniu, w jakim się znajdowała. Pomimo ciepłej odzieży nadal trzęsa się z zimna od lodowatej wody. Powietrze też było nią przesiąknięte i niewiele cieplejsze od niej, w dodatku cuchnęło wonią rozkładających się roślinnych substancji. Przypomniała sobie o termosie z herbatą. Otworzyła go i z ochotą piła gorący napój małymi łykami, by nie poparzyć sobie zmarzniętych warg. Już po chwili poczuła jego rozgrzewające działanie.

Tymczasem wokół nadal było ciemno i cicho. Tylko z rzadka coś zachlupotało w wodzie. Najwidoczniej były to żaby gniezdzące się w kałużach. Przypomniały jej się zimne poranki na Wyżynie Nadwożańskiej, w które ojciec, zapamiętały wędkarz, wyciągał ją z ciepłej pościeli i zabierał nad jezioro. Tam też były podobne zarośla, chłód i głęboka cisza, tylko od czasu do czasu zakłócana rechotem żab. Potrafił przesiedzieć nad wodą kilka godzin, łowiąc drobne płocie. A kiedy udało mu się złapać na haczyk większą sztukę, cieszył się jak dziecko. Ona zaś nigdy nie miała cierpliwości siedzieć w jednym miejscu z zanurzoną w wodzie wędką i czekać, aż jakaś rybka pociągnie za żyłkę. Toteż gdy tylko wschodziło słońce, opuszczała go i samotnie spacerowała brzegiem jeziora. Później, gdy była już starsza, przestawała

mu towarzyszyć w tych wędkarskich wyprawach. Zresztą on sam przekonał się z czasem, że nie zrobi z niej wędkarza, i od tej pory chodził na nie z jej młodszym bratem.

Gdy tak powracała myślami do tamtych lat, w jej sercu rozdził się żal za tym spokojnym i beztróskim życiem. Wtedy łowiąc z ojcem ryby, wiedziała, że wcześniej czy później wrócić do domu i usmażyć je na śniadanie, a nazajutrz znów będzie mogła pójść nad wodę i pospacerować po brzegu, jeśli tylko przyjdzie jej na to ochota. Teraz zaś siedziała tu samotnie, nie wiedząc, co ją czeka, nawet gdy uda jej się stąd wydostać. Co się stanie po spotkaniu pierwszego człowieka i kto nim będzie? Jak ją potraktuje i czy jej pomoże? Na takich rozmyślaniach spędziła jeszcze godzinę, zanim zaczęło świtać. Początkowo nadal dostrzegała jedynie wysokie łądygi trzciny, ale już także te bardziej oddalone. Potem zobaczyła za nimi wynurzającą się z półmroku ciemną ścianę drzew. W chwilę później jej oczom ukazał się wyraźny zarys zagajnika. Ucieszyła się na jego widok i postanowiła pójść ku niemu, choć nie wiedziała, co się dalej znajduje. Znów zanurzała nogi w grząskim błocie. Tylko gdzieniegdzie znajdowała większe kępy bylin, na których nie zapadały się już tak głęboko. Ta część mokradła nie miała bujnej roślinności. Ale też były na niej liczne stawki. Wydostawały się z niej wiotkie, zeszlóroczne źdźbła traw i zielska, wypierane przez nowe, młode roślinki. Muł stawał się coraz rzadszy i płytszy. Dzięki temu mniej się męczyła. Szybko przeszła przez ten końcowy odcinek szuwarów i z uczuciem ulgi stanęła w lasku. Tu ziemia była twardsza, choć też nie brakowało kałuż. Ale między nimi były duże kępy ciemnozielonego mchu. Stąpała po nich niczym po puchowych, małych poduszczykach. U wylotu zagajnika zobaczyła pola, a za nimi zagrody wioski. Postanowiła wejść do pierwszej z brzegu i zapytać o Chałupki, gdzie mieszkali Sendorowie, u których miała się zatrzymać.

Polna droga, łącząca zagajnik z wioską, była pusta. Szła nią szybko, by wejść do wsi, zanim ktoś ją zauważy. Dopiero w po-

blizu pierwszej zagrody zwołniła kroku i powoli skradała się do krytych słomą dwóch budynków. Pierwszym była stodoła, drugim – typowa stara chałupa, jakie widywała na Nadwożu. Przystanęła, że wcześniej czy później ktoś powinien z niej wyjść. Wiedziała, że na wsi ludzie wcześniej wstają. Przystanęła więc za narożnikiem stodoły i obserwowała drzwi wejściowe do budynku mieszkalnego. Upłynęło co najmniej pół godziny, zanim ukazał się w nich lekko przygarbiony wieśniak w średnim wieku. Szedł ku stodole z koszykiem w ręku. Pomyślała, że nadeszła chwila, by się ujawnić, i wyszła mu naprzeciw. On też ją zobaczył. Przystanął i przypatrywał jej się wzrokiem zdziwionym i nieufnym. Widocznie nie spodziewał się zobaczyć kogokolwiek o tak wczesnej porze dnia.

– Dzień dobry, gospodarzu! – pozdrowiła go i również się zatrzymała. – Uciekłam przed banderowcami spod Lwowa i idę do Mogiły, do moich krewnych, ale nie znam drogi. Czy moglibyście mi ją wskazać? – przedstawiła mu z góry przygotowaną legendę i z ostrożności zapytała nie o Chałupki, a o znajdującą się w sąsiedztwie większą wieś.

Chłop podrapał się po głowie zakłopotany i rozejrzał, czy nikt ich nie widzi. Potem ponownie spojrzął na jej ociekającą wodą odzież i, kiwając z politowaniem głową, odparł:

– Do Mogiły będzie ze dwanaście kilometrów, ale pani nie może pójść taka mokra. Proszę wejść ze mną do stodoły.

Zamierzała odpowiedzieć, że nie może, bo się śpieszy, ale on nie oczekiwał żadnych wyjaśnień. Odwrócił się zaraz i zmierzał ku stodole. Po chwili wahania poszła za nim. Weszli na klepisko. Zobaczyła ręczną sieczkarnię, a obok stertę słomy przygotowanej do cięcia. Po obu stronach boiska były sąsieki. Jeden był wypełniony słomą, drugi – sianem.

– Pani odpocznie na słomie – powiedział chłop i wyszedł, mamrocząc coś pod nosem. Z jego pomruku zrozumiała, że niebawem wróci. „Chyba mnie nie wyda?” – pomyślała z niepokojem,

choć wyglądał na przyzwoitego człowieka. Zdjęła przemoczone buty, potem skarpety i podszła do drzwi. Przez szparę między deskami obserwowała dom. Po kwadransie wyszedł z niego, niosąc coś na ręce. Odeszła pośpiesznie od drzwi i usiadła na słomie.

– Pani zdejmie ubranie, to je wysuszę nad piecem, a tymczasem ubierze tę koszulę i suknię – powiedział po wejściu do stodoły i położył je obok.

Stał chwilę nieruchomo, ale zapewne odgadł, że go się krępuje, i wyszedł. Gdy po chwili wrócił, była już w przyniesionej przez niego obszernej, flanelowej sukni. Musiała wyglądać w niej zabawnie, ale przynajmniej była sucha i ciepła. Tym razem przyniósł jej kubek gorącego mleka i dwie pajdy wiejskiego chleba, posmarowanego masłem.

– Pani się posili, zanim wyschnie ubranie. Potem zawiozę ją do przewozu przez Wisłę – oświadczył, podając jej posiłek.

– Ależ ja nie mogę sprawiać wam tyle kłopotu. Zrobiliście już dla mnie wystarczająco dużo.

– Nie ma o czym gadać! Podwiozę panią do Wisły i już. Potem i tak będzie miała pani kawałek drogi do przejścia – przerwał jej tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– W takim razie dziękuję za wszystko, co dla mnie robicie.

– To ja pójdę przygotować konia – odparł, zabierając jej mokrą odzież i zabłocone buty.

Po jego wyjściu ponownie usiadła na słomie. Wypiła mleko i zjadła chleb. Z garści słomy zrobiła wiecheć. Wytarła nim brudne i zziębnięte nogi. Odczuwając zmęczenie po nieprzespanej nocy i przeprawie przez mokradło, zdrzemnęła się. Drzemka szybko przeszła w głęboki sen. Gdy się zbudziła, miała na sobie gruby koc, którym zapewne okrył ją chłop. Kiedy znów wyszedł, powiedział jej, że przespała dwie godziny. Zaniepokoiło ją to trochę, ale teraz czuła się dużo lepiej. Poprawił jej się też humor. Jego nieco młodsza żona przyniosła dużą miskę ciepłej wody, mydło i ręcznik, wysuszoną już odzież i oczyszczone obu-

wie. Olga porozmawiała z nią chwilę, umyła twarz, ręce i nogi i znów zmieniła ubranie, tym razem na swoje. W tym czasie chłop wyprowadził konia ze stajni. Zaprzągnął go do wozu i poprawił na nim uprząż. Później przystąpił do przygotowania siedzeń. Na przedzie wozu zawiesił drewnianą drabinkę, położył na niej wypchany słomą worek i nakrył go grubą, szarą derką. Po wykonaniu tych czynności wszedł do mieszkania, by się przygotować do drogi.

Ona zaś podeszła do wozu i przypatrywała się koniowi. On też patrzył na nią, stojąc spokojnie przy dyszlu i mrugając do niej długimi, owłosionymi powiekami. Z czasem zaczął się niecierpliwić. Co chwilę odwracał łeb w stronę domu, nerwowo potrząsał gęstą grzywą i przebierał przednimi nogami. Gdy wreszcie zobaczył swego pana, zarżał głośno z radości i zastrzygnął uszami. Zanim usiedli na wozie, gospodarz podał jej dużą, kraciatą chustę i powiedział:

– Proszę okryć nią głowę i plecy i udawać moją córkę. Jakby co, to proszę mówić, że boli ją ząb i jedzie ze mną, to znaczy z tatusiem, do dentysty.

Po tym zaleceniu usiedli oboje na wozie. W tym samym momencie rumak ruszył do przodu, zanim on zdążył wydać mu komendę.

Jechali wyboistym gościńcem. Poranek był pochmurny i zimny. Nad nizinami unosiły się jeszcze gęste, wiosenne mgły. Ich opary wypełniały powietrze wilgocią. Na konarach przydrożnych drzew rozwinęły się już zieleniutkie liście. Mijali ubogie wioski. Niemal wszystkie zabudowania pokrywała szerniała od starości słoma, poprzerastana gęsto kępami ciemnego, brudnego mchu. Na szczycie domu położonego na wzniesieniu zobaczyła okrągłe gniazdo, wplecione w koło od wozu. Pośrodku stał bocian na długich, czerwonych nogach, z gałązką w dziobie. Przyglądając mu się, pomyślała, że podczas gdy ten wykańczał gniazdo, drugi zapewne polował na pobliskich mokradłach na żabki, któ-

rych plusk słyszała niedawno. Ptaki te musiały być świadome obecności tych płazów w pobliżu i nieprzypadkowo tu właśnie postanowiły spędzić lato i wychować potomstwo. „Ciekawe, czy wybór tego właśnie miejsca zawdzięczały swemu dobremu wzrokowi czy też instynktowi” – zastanawiała się. Od czasu do czasu słyszeli radosny śpiew skowronków. Wisiały wysoko nad ich głowami i, śpiewając, trzepotały skrzydełkami. Początkowo nie odzywali się do siebie, pochłonięci własnymi myślami i obserwacją okolicy. Dopiero po pewnym czasie milczenie przerwał jej współtowarzysz. Nieoczekiwanie dla niej zadał jej pytanie, którego wolałaby uniknąć:

– Jak długo pani ucieka przed tymi, jak im tam. . .

– . . . banderowcami – odpowiedziała mu.

– A co to za ludzie? – zmienił temat.

– To są ukraińscy nacjonałiści. Chcą utworzyć niepodległą Ukrainę i za cichym przyzwoleniem Niemców mordują Rosjan i Polaków. Nazwę przejęli od nazwiska swego przywódcy, Stefana Bandery. Teraz podobno siedzi w niemieckim więzieniu.

– A pani jest Rosjanką czy Polką?

– Rosjanką, ale mój dziadek był Polakiem i dlatego mówię trochę waszym językiem – skłamała.

– No, nie trochę, a całkiem dobrze, może tylko inaczej niż tutejsi ludzie. Dlatego od razu pomyślałem, że pani z innych stron. Ale żeby aż stamtąd, to tego się nie spodziewałem – kiwał ze zdziwieniem głową.

– To właśnie ci ludzie, do których jadę, są moją dalszą rodziną ze strony dziadka – zełgała znów, aby uwiarygodnić swą opowieść.

– A to prawda, że tam u was są jeszcze większe zimy?

– Na samej Ukrainie nie, ale jest ona teraz republiką Związku Radzieckiego, a to wielki kraj i w różnych częściach różne są zimy. Największe bywają na Sybirze – odpowiedziała i, zadowolona

na ze zmiany tematu, zaczęła mu wyjaśniać różnice klimatyczne poszczególnych regionów.

Rozmowa o klimatach odsunęła na pewien czas jej myśli od niepewnego położenia, w jakim się znajdowała. Ale niepokój szybko powrócił. Nadal nie wiedziała przecież, co się stało z szefem, jak ją przyjmą rzekomi krewni i co potem nastąpi. Może nawet nie dotrzeć do Chałupek. W każdej chwili mogą ich zatrzymać Niemcy i nie uwierzyć w wymyślony przez chłopca cel podróży. Trochę otuchy dawała jej świadomość, że i on był narażony na podobne ryzyko, a mimo to nie zdradzał niepokoju.

Dojechali do promu. Przez całą drogę nie widzieli żadnego Niemca. W ogóle spotkali tylko dwa samochody ciężarowe, kilka furmanek, kilkunastu rowerzystów i niewiele więcej piechurów. Usiłowała zapłacić mu za przejazd, ale nie chciał słyszeć o pieniądzach. Jeszcze raz podziękowała mu więc za pomoc i weszła na prom. Było już na nim trzech mężczyzn i dwie kobiety. Wkrótce przyszły jeszcze trzy osoby. Wtedy przewoźnik uruchomił ów pływający most, który powolutku odpływał od brzegu, wywołując lekkie falowanie wody. Po opuszczeniu go po drugiej stronie rzeki poszła w stronę Mogiły. Tuż przed samą wsią zobaczyła, po prawej stronie, wąską drogę. Na jej poboczu stał wysoki, drewniany słup z przybitą do niego blaszaną tablicą. Była na niej strzałka i napis: „Chałupki – 3 km”. Weszła więc na drogę i poszła prosto w kierunku wskazanym przez strzałkę, zadowolona, że nie musi nikogo pytać o tę miejscowość.

Po obu stronach rozpościerały się pola uprawne. Na większości z nich zieleniło się, przy samym gruncie, zboże. Gdzieś tam były małe zagajniki. Wyglądały z daleka niczym wysepki na rozległym jeziorze. Po pewnym czasie zobaczyła pierwsze budynki Chałupek. Była to nieduża wieś; dwadzieścia może z górą trzydzieści małych zagrod. Chatę Sendorów znalazła łatwo. Przełożeni pokazali jej przed zrzutem dokładny plan, narysowany przez młodego Sendora, Piotra. Był to ich najmłodszy syn.

Walczył u generała Berlinga. Weszła do sieni, potem do izby. Przy dużym glinianym piecu krzątała się starsza już kobieta. Pod oknem siedział jeszcze starszy mężczyzna. W zębach trzymał długą fajkę. Co pewien czas cmokał i wypuszczał z niej kółeczka szarego dymu. Jego cieniutkie jak pajęczyna, sprężyste strużki unosiły się wysoko pod sam sufit. Przyjrzała się uważnie obojgu i od razu rozpoznała w nich wieśniaków ze zdjęcia, które pokazał jej szef. Gospodarze też patrzyli na nią z zaciekawieniem. Zatrzymała się na środku izby i przemówiła:

– Dzień dobry! Przybywam z wiadomościami od waszego syna, Piotrka – powiedziała. Widząc zaś ich zdziwione miny, dodała pośpiesznie:

– Oto jego list i zdjęcie.

Pierwsza ochłonęła z wrażenia kobieta. Gdy tylko usłyszała imię syna, szybko podeszła do niej i wyciągnęła rękę po koperty. Odbierając je, zaczęła głośno powątpiewać w jej słowa:

– To jakaś pomyłka, bo on zaginał. Przed wojną był w wojsku i zaraz po jej wybuchu trafił na front, i już go więcej nie widzieliśmy. Tylko raz napisał, że wycofali się nad ruską granicę. Potem ludzie mówili, że bolszewicy wywieźli ich na Sybir. Ale to chyba nieprawda, bo to dobry chłopak i niczego złego nie mógł im zrobić. Pewnie zabili go Niemcy. . . Chciała jeszcze coś dodać, ale gdy rozpieczętowała kopertę z fotografią i spojrzała na nią, przerwała nagle swą opowieść i zawołała radośnie:

– To naprawdę nasz Piotruś! Popatrz, ojciec! – przywołała męża i podsunęła mu przed oczy zdjęcie syna.

– Jak sami widzicie, nikt go nie zabił. On wciąż żyje i znów walczy z Niemcami. Niech pani przeczyta list.

Kobieta odłożyła zdjęcie i drżącymi rękami otworzyła drugą kopertę. Wyjęła ręcznie zapisaną kartkę papieru, przybliżyła do oczu i zaczęła powoli czytać. Po chwili podszedł do niej mąż i również usiłował, spoza jej pleców, odczytać koślawe pismo syna. Po przeczytaniu pierwszych zdań znów zaczęła wykrzykiwać:

– Pismo też jego! Poznaję! A więc to nieprawda, że zginął! On naprawdę żyje! Mój kochany Piotruś. Ja nigdy nie chciałam uwierzyć w jego śmierć. Codziennie modliłam się o jego powrót. Jak widać, dobry Bóg wysłuchał mnie. Wielka chwała mu za to!

– A więc sam potwierdził, że żyje i jest zdrow. Niedługo skończy się wojna i wróci do was.

– Ale dlaczego nie pisał?

– Tego nie wiem. Pewnie pisał, ale listy zatrzymali na granicy. Przecież jest wojna.

Kobieta jeszcze raz przysunęła list do oczu.

– Pisze, żebyśmy się nie martwili, bo jest mu tam dobrze. . . Mój Boże, czy na wojnie może być dobrze? – kiwała z powątpiewaniem głową. – Prosi też, byśmy się zaopiekowali panią i jej towarzyszem. To znaczy, że pani nie jest sama? – zapytała, podnosząc na nią nieco zdziwiony wzrok.

– To prawda. Jest nas dwoje: ja i jeszcze jeden Polak. Ma na imię Józef i jest moim szefem. Niedługo powinien tu być. Nasze spadochrony rozdzieliły nas jeszcze w powietrzu – odpowiedziała onieśmielona, nie wiedząc, jak zareagują.

Gospodarz dostrzegł jej zakłopotanie i szybko włączył się do rozmowy:

– Bardzo przepraszam, ale proszę usiąść, bo zajęliśmy się listem, a pani wciąż stoi. A o szefa proszę się nie martwić. Zaopiekujemy się i nim.

– Muszę was jednak uprzedzić, że nie przybyliśmy legalnie.

– Domyślam się, bo jak w dzisiejszych czasach można by stamtąd dostać się tu inaczej. Ale to nieważne. My i tak nigdy nie jesteśmy pewni jutra, nawet jeśli mamy czyste sumienia.

Jego słowa uspokoiły ją trochę. Na wszelki przypadek dała jednak:

– Nie będziemy was długo narażać. Za kilka dni ktoś zgłosi się po nas.

– Nie ma o czym gadać. Możecie zostać tak długo, jak ze-

chcecie. Jeśli tylko nie zrażą was nienajlepsze warunki, bo sama pani widzi: chałupa stara i mała, a jedzenia też nie za wiele. Co raz więcej musimy oddawać Niemcom. Mimo to podzielimy się z wami tym, co nam zostawili i co zdołaliśmy przed nimi ukryć.

Z przyjemnością słuchała go i czuła, że mówi szczerze. Żona też robiła wrażenie kobiety życzliwej. Gdy się już nacieszyła listem syna, przyrządziła posiłek. Nie była głodna, bo niedawno zjadła przecież dwa duże kawałki smacznego, wiejskiego chleba i popiła go mlekiem. Z grzeczności jednak przysiadła się do nich. Jedząc, rozmawiali o ich synu, o wojnie i okupacji. Gdy kończyli posiłek, przyszedł Józek.

Był to mężczyzna średniego wzrostu w wieku około trzydziestu lat, o pociągłej twarzy, wysokim czole i jasnych, trochę rudawych włosach. Pochodził ze Śląska, lecz od wybuchu wojny mieszkał w Związku Radzieckim. Nosił pseudonim Józek. To było wszystko, co o nim wiedziała. On również niewiele więcej wiedział o niej. Poznali się dopiero w wojskowej szkole wywiadu pod Moskwą, gdzie wszystkich obowiązywała dyskrekcja w odniesieniu do swojej przeszłości. Z tego powodu nie mogli nawet spędzać razem wolnego czasu, poza kursantami mieszkającymi w tych samych pokojach. Zresztą prawie go nie mieli. Szkolono ich w przyspieszonym trybie, od wczesnego rana do późnego wieczora tylko z krótkimi przerwami na posiłki. Chcieli jak najszybciej wysłać ich na zaplecze wroga. Józka widywała tylko na wspólnych wykładach. Dopiero przez ostatnie dwa dni przed przetrzucem przebywali razem w jednym pokoju, bez pozostałych kursantów, kiedy wykładowcy przekazywali im już konkretne informacje o miejscu lądowania, adresach kontaktowych, przydzielonym im do rozpracowywania terenie i sposobach utrzymywania łączności. Teraz ucieszyła się z jego przybycia i z radością przedstawiła go gospodarzom. Jemu również podali śniadanie. Jadł i opowiadał im o swym lądowaniu. On też znalazł się w innym miejscu od zaplanowanego. Ponad dwadzieścia kilometrów od

Chałupki. A więc o kilka kilometrów dalej niż ona. Za to trafił na twardy grunt i nie musiał się przeprowiać przez bagna. Lecz gdy zauważyła, że mu się lepiej poszczęściło, potrzęsła przecząco głową i odparł:

– Polanka była ładna, ale pusta, bez jakiegokolwiek krzaczka. A zimny wiatr wiał mocno i cholernie zmarzłem. Miałem też trudności z ukryciem spadochronu. Po wybraniu kilku sztychów mokrej ziemi z wierzchu głębiej było już tak twarde, że o mało nie złamałem łopatkę. Z trudem zakopałem go płyciutko. Gdy zaczęło świtać, zobaczyłem w pobliżu lasek. Wtedy zdenerwowałem się jeszcze bardziej; był tak blisko, a ja nie widziałem go i marzłem obok na pustkowiu. Poszedłem do niego i posiedziałem trochę pod jakimś krzewem. Potem udałem się w stronę najbliższej wioski. Przezornie ominąłem ją i szedłem jeszcze długo, zanim się zorientowałem, co to za okolica. Później spotkałem furmankę. Woźnica podwiózł mnie parę kilometrów, potem wyjaśnił mi, jak skrócić sobie drogę tutaj. Niestety, zgubiłem ją w lesie. I znów straciłem sporo czasu na jej odnalezienie.

Po opowiedzeniu im swojej przygody rozejrzał się po izbie, spojrzał na gospodarza i zauważył:

– Coś ten wasz dom przyciasny, a my liczyliśmy na kilkudniowy pobyt u was.

– To prawda. Poza tą izbą jest jeszcze mała kuchnia, komórka, no i stodoła, ale jeszcze za zimno na nocowanie w niej. Może jednak z biedą jakoś się pomieścimy. Chyba że zamieszkalibyście u mojego krewniaka w Krakowie, Czyża. Ma piętrowy dom na przedmieściu i mieszka tylko z żoną.

– Jedno z nas musi pozostać, bo ktoś z ruchu oporu ma się tu po nas zgłosić – zauważyła Olga.

– Poza tym wasz krewniak chyba bałby się gościć nas bez meldunków – dodał Józek.

– Przecież to tylko parę dni, jak mówicie. Powinien się więc zgodzić.